

PASIERBICA

CZYLI
Maryeta, odrzucona córka hrabiowska

(Ciąg dalszy).

Tak, dlatego, że się zestarze-
łem, zabrano mi to miejsce — cią-
gnął z żalem starzec — sprowadzo
no ogrodnika z Paryża, bo ja dla
pana hrabiego za mało się znam.
— Co mówisz, starcze? Zda-
mi się, że hrabia de Montillon nie
żyje?
— Tak jest — odrzekł stary —
jęle siostrzyczka starego hrabiego,
młody hrabia de Montillon, jest
już od kilku lat na zamku.
Nieznamy spojrzeli ze zdumie-
niem na ogrodnika.
— Papiosze niedorzeczności, sta-
ry. Jak może hrabia Mikołaj znaj-
dować się na zamku, kiedy jeszcze
nie powrócił?
Po tych słowach odwrócił się do
starego plecami i poszedł dalej.
Wielka brama zamkowa, ozdo-
biona łyrami z marmuru była ot-
wartą. Nieznajomy wszedł w nią
wolnym krokiem i znalazł się w
przepysznym ogrodzie. Rozglądał
się wokół i dziwił, że tu wszyst-
ko było zmienione. Wspaniałe ko-
bierce kwiatowe zastąpiły dawniej-
sze skromne trawniki. Liczne fon-
tanny były do góry, orzeźwiający
powietrze, a w marmurowych ba-
senach igrały wesołe rybki złote.
Wszystko dyszało nowym życiem,
Nareszcie ujrzał nieznajomy ja-
kiegoś człowieka, zajętego przy
krzakach różanych.
— Jesteście pewnie nowym o-
rodnikiem? — zapytał hrabia,
klianając mu się czelówką.
— Do usług, jestem ogrodnikiem
zamkowym, nazywam się Armand.
— Czy dawno tu już jesteście?
— pytał dalej obcy.
— Od dwóch lat, od czasu gdy
hrabia Mikołaj de Montillon wró-
cił z swoich podróży po dalekich
krajach.
— Co wy mówicie? — spytał
przezorny hrabia — Mikołaj de
Montillon powrócił?
— Tak jest, od dwóch lat już
objął on dziedzictwo po swoim wu-
ju.
Ciąg sili woli zapanował obcy
nad burzą, jaka zerwała się w je-
go duszy.
— Tak — mówił dalej ogrodnik
— od czasu jak młody hrabia po-
wrócił wiele zmian zaszło w zam-

ku. Pani hrabina nie mogła znieść
starych kwietników, dlatego spro-
wadzono mi z Paryża, bym nowy
ogród zalożył.
— Jako? Hrabina? Któż to
jest? — zapytał zdziwiony przy-
bysz.
— Młody pan hrabia się prze-
cie ożenił. Nie wiecie o tem? W
taki mrazio musicie być zupełnie
obcyom w tych stronach? — od-
parł ogrodnik, przyglądając się
badawczo oryginalnie ubranemu
panu.
Z wielkim trudem udało się nie
znanomemu zapanować nad miota-
jącymi ni muzczkami.
— Więe podczas jego nieobecności
kto iny zajął należne jemu stano-
wisko? Ale kim był ów oszust,
który się odważył go podejść i
objąć spadek po jego wuju?
Biada nędznikowi, zemdlił się on
na nim strasznie.
Ogrodnik nie wiedział co ma
znażyć dziwne zachowanie się nie
znajomego. Skąd przybywa i co
chce tu na zamku.
— Czy możecie mi powiedzieć,
przyjacielu, czy ów hrabia Miko-
łaj de Montillon, jakcieś go na-
zwali, znajdujący się obecnie w za-
mku?
— Nie, laskawy panie! Hrabia
de Montillon wraz z nowym i Pa-
ryża wyjechał wczoraj na polowa-
nie i powróci dopiero jutro rano.
Nieznamy, osłupiał z przera-
żenia.
Musiał więc czekać do jutra, by
wystąpił przeciw temu, który go
okradł z bogatego spadku.
— Jeszcze jedno — zwrócił się
mnowo do ogrodnika — czy nie
wiecie przypadkiem, czy Maryeta,
siostrzyczka starego hrabiego, zna-
duje się w zamku?
— Mówi pan o córce hrabiego
Mikołaja de Montillon, pasierbicy
obecnej hrabiny? Nie, Maryeta
niema w zamku! Jej macocha od-
dała ją na wychowanie do straż-
ników leśnych.
— Co... co wy mówicie? —
krzyknął nieznajomy tak głośno,
że ogrodnik cofnął się przerażony.
— Jaki Maryeta mieszka w cha-
cie stróża leśnego?
— Tak jest. Ale proszę was,
wielmożny panie, nie mówcie nie
w zamku, żeście się odemnie do-
wiedzieli o tem.
— Moje święte, nieszczeniwe
dziecko w chacie — szeptał nie-
znajomy. — Cóżże ty musiała wy-
cierpieć podczas mojej nieobecno-
ści, biedna, niewinna duszko!
— Czy wiadomo wam, dlaczego
ją umieszczono u stróżów leś-
nych?
— Tak jest, mówią, że pani hra-
bina chciała złamać upór i dumę
dziecka, które jej nie chce uznać
za matkę.
— Strasznie! Więe dlatego, że
to biedne dziecko nie może kochać
oszustki, wyrzuca się ze zamku.
Boże sprawiedliwy i Ty możesz na
to patrzeć? Wielki był już czas
bym powrócił, jeśli tylko już nie
zapóźno.
Tak myślał nieznajomy i skłi-
nąwszy głowę ogrodnikowi, przy-
brał na nowo dumną postawę i jak
prawdziwy pan tych posiadłości,
szedł w stronę zamku.
Nie przeczuwał że w tej samej
chwili był widzianym przez pa-
nię tego zamku.
Stała w oknie swego wspania-
łego pokoju, gdy nagle spozosta-
ła oboego i drgnęła przerażona.
Czego tu chciał ten opalony od
słońca człowiek. Nieokreślona
trwoga opanowała ją na widok
obcego, którego ósry plemił spo-
glądady.
Dziwnie przeczuło się
w niej. Przez chwilę nieporuszona
stał cież dawno zmarłego. Jeszcze
się nie zdolała otrząsnąć z prze-
strachu gdy się uchyliła ciężka
portyera i służący stanął na pr-
gu.
— Jakis obcy pan pragnie m-
wić z panią hrabiną — zameldo-
wał lokaj, klanając się uniżenie.
— Kim jest ten nieznajomy?
Jak się nazywa? — pytała hra-
bina ostrym tonem służącego.
— Przebaczenia, wasza laskawo-
ści, ten obcy prosi ażeby mu
hyla wolno samemu wyjawić swo-
je nazwisko.
— Nie przyjmuję panów bez na-
zwiska. Mógł może nie ma w do-
mu. Pójdź i oświadczy to temu pa-
nu.
W tej samej chwili wszedł obcy
pan do pokoju.



DZISIAJ nietylko Nowy York, ale i centrum filmowe Hollywood nadaje ton w dziedzinie mody. Do-
brze więc wiedzieć, co tam obecnie mamy noszą. Od lewej do prawej Barbara Kent w kostiumie ensem-
ble z grubej rose crepe odwoch odeleni, w kapeluszu z małowój materji koloru rosę i złotego.
Dalej Gretchen Young z sukni z różowejgardie, z halką z różowej satyny. Kathryn McGuire w suk-
ni boskinowej, koloru orchard, z szewkąłi hosił buffet, koloru purpie i fioletoowego, w gąbki do-
okoła obręby. June Marlow w sukni z importowaną nej szwajcarskiej koronki, koloru kramowego na
podkładce z białej satyny. Do tego kapeluszy z włosi, przybrany pętelkami.

Wydaj, mam do pomówienia
z panią hrabiną — rozkaza su-
rowy mtonem służącemu, który z
przestachem spoglądał na hrabi-
nę, poczem wysunął się z pokoju.
Jak wiadło, tak stał nieznajomy
przed hrabiną osłupiał z przera-
żenia i drżąc pod wpływem groź-
nego wzroku przybyzsa.
Na jej zwykle zimnej marmuro-
wej twarzy malowała się trwoga,
jak gdyby widmo przed nią stało.
Nieznamy był również zdum-
niony w najwyższym stopniu. Za-
dne słowo nie wyszło z jego ust.
Uplętnęła straszna minuta milczenio-
na dla tych dwojga, mierzących
się ponurym spojrzeniem.
— Co widzę? To wy osmielacie
się odgrywać rolę hrabiny de Mon-
tillon? Jesteście Udarda, gospo-
dyni niestoszczyka mego wuja. W
izbie czeladnej wasze miejsce, a
nie tu — zawałta obcy silnym gło-
sem.
— Kim jesteście bawstydny, ko-
si się odważacie wtargnąć do moich
pokoi i napadać na mnie? — za-
wowała lodowatym głosem oburzona
hrabina.
— Jestem hrabią Mikołajem de
Montillon i przychodze objąć w
posiadanie dziedzictwo po moim
wuju.
Szyderczy śmiech rozległ się z
ust bladej kobiety.
— Co, wy jesteście hrabią Mi-
kołajem de Montillon? Ha, ha, ha!
Przychodzicie za późno. Hrabia
Mikołaj de Montillon, właściciel
tego zamku dawno powrócił i jest
moim małżonkiem.
— Hrabia Mikołaj de Montillon
powrócił, a wy jesteście jego żo-
ną? Ha, cóż za niesłychane os-
zustwo. Prawdziwy hrabia Miko-
łaj de Montillon stoi przed wami
— krzyczał oburzony obcy tak
głośno, że się w pokoju rozlegało.
— Jako? Osmielacie się pod-
wać za młodego hrabiego de Mon-
tillon i spadkobiercę nieboszczyka,
starego hrabiego? Jesteście szna-
leńcem. Oddało się — krzyczała
głośno zbliżyła się do drzwi
by przywołać służbę.
— Stój — zawałta obcy i sta-
nął przed dzwonek. — Jeszcze
raz powtarzam wam, że jesteście
Udarda, była gospodynją mego
wuja, a obecnie... towarzyszką
oszustki.
— A ja raz jeszcze powtarzam:
Presz! Lub zawałam o pomoc bez-
czelny śmiełku. Wy jesteście oszn-
stem i chociaż odegrać rolę uci-
śnionego spadkobiercy.
— Nędznico — krzyczał obcy —
na o się odważałeś? Ani wariat,
ani oszust stoi przed wami, lecz
prawdziwy hrabia Mikołaj, który
przez dwanaście lat błagał się po
obczyźnie i teraz powrócił do swo-
go majątku.
— Jeszcze raz rozkazuję wam
oddalić się z mego zamku lub ka-
żę was obić moi złudziom — groziła
demoniczna kobieta, patrząc bez-
czelnie w ocz stojącego przed nią
i drżąca z przestachem.
— Dostyć, oszustko, wy, nie-
gdys gospodynja, a obecnie, towa-
ryszko śmiełku. Widzieliście
ten dokument — tu wyjął z pugi-
litrusa złożony papier — ten do-
kument dowiedzie wam, że praw-
dziwy hrabia Mikołaj de Montillon
powrócił i stoi przed wami. Dla-
tego, żeście mnie mieli za umarłe-
go, staliście się za pomocą nieo-
bchwego oszustki naszą dziedzic-
nią

tego zamku. Lecz drzyjcie przed
moją zemstą.
— Ten dokument jest sfalszo-
wany — zawałta hrabina, przy-
glądając się papierowi, jaki hrabia
trzymał w ręku.
— O, jest on napisany własno-
rzecznie przez mego wuja. A...
Udardo Bevantier, nie wiedzieliście
że mi wuj kopiętestamentu wysłał
do Paryża i będę szukał sprawie-
dliwości. Ten dokument dowiedzie
że ja jestem hrabią Mikołajem
de Montillonem, a wy i wasz go-
dny małżonek zwykłymi oszustami.
— Po raz ostani przez stąd —
krzyzała kobieta drżącym gło-
sem. — Czyżcie co wam się po-
do-
ba, ale ten sfalszowany dokument
na nie się wam nie przyda. Mój
mąż uznany od dawna przez rząd
za jenerałnego spadkobiercy.
Nieznamy spoglądał na byłą
gospodynją z podziwem nad bez-
czelnością, z jaką mu w oczy za-
rzuca oszustwo.
— Udaro! Niazem inem nie je-
steście, jak dziewczą ordynarnego
zodzieja. A teraz, gdzie jest mo-
je jedyno dziecko, moja Maryeta?
— Błada śmiertelnie hrabina, za-
dusięła wargi do krwi.
— Miliotyde, nikożenna! Wa-
czone występnie sumienia nie pozwa-
ła wam dać odpowiedzi na moje
pytanie. Ale ja wiem, żeście to
nie winne dziecko wyrzucili z zamku.
— Hrabina drżała, musiała się o-
przed przez chwilę na poręczy
krzesła.
— Na twarzy waszej czytam, o
spełnieniu przestępstwa. Najlep-
szym dowodem, że ten oszust, —
wasz mąż, nie jest rabią Miko-
łajem, jest to, że pozwolił wypędzić
dziecko z domu. Czyż ojciec rodo-
ny pozwoliłby na coś podobnego?
— Ostatni raz powtarzam: —
wyjdźcie przez stąd szalony —
krzyknęła nędzna oszustka, odzy-
skawszy panowanie nad sobą.
— Odechodę — zawałta niezna-
jomy. — Nie chcę rozmawiać dłu-
żej z dziewczą służebną. Sądy w
Paryżu rozstrzygną. Jest jeszcze
sprawiedliwość na świecie.
Przez chwilę jeszcze stał hrabia
Mikołaj de Montillon przed fałszy-
wą hrabiną i mierzył ją pogardli-
wym spojrzeniem, potem odwrócił
się od niej i z podniesioną dumnie
głową wyszedł z salonu.
Zaledwie umilkły jego kroki, gdy
Udarda krzyknęła:
— Na Boga! To jest prawdziwy
hrabia Mikołaj de Montillon! On
żyje! On żyje!
I drżącymi ze zdumowania
rękami schwyła się za głowę.
— Nasze oszustwo zostanie wy-
kryto! Jesteśmy zdemaskowani!
Czyż niema ratunku? Nie, ten do-
kument! On go przecież ma w rę-
ku!
Nagle na jej marmurowej twa-
rzy ukazał się uśmiech szyderczy;
zgrzytnąwszy białemi zębami mr-
nęła do siebie:
— Pooù ta obawa? Jest jesz-
cze ratunek; dwóch hrabiów de
Montillon żyć nie może; jeden z
nich musi umrzeć i to dziś jesz-
cze!
W piersi oboego szalała burza
i postanowił niezwłocznie rozpo-
cząć kroki, by wywlaszoryć nie-
prawnych spadkobierców.
Dziś jeszcze zamierział powrócić
do Paryża i podjąć go o od-
powiedzialności. Sprawiedliwość
musi się sta stać zadość. Prze-
cieś ma dowód, walsmerożne pi-
mo wuja.
Gdy schodził ze wzgórza, na kt-
órym stał zamek, wzrok jego padł
na stary cementarz okalający ko-
ściółek.
(Ciąg dalszy nastąpi).

reński, wzrósł ostatecznie do
wysokości 40.000; a teraz domaga
się lichwiarz zwrotu należności i
nie chce już kredytować, chociaż
bym pragnęła przedzwać ten
"zart" ekonomiczny, ażeby wzrosł
do kilkuset milionów. A to! zgi-
dniały smok nie zna już żadnej
litości. Pewnego dnia gdy była
w złym humorze, zwierzyłam się
przypadkiem Wamhiedem, a ten
pożyczył chłopcę przybiecał mi
dopomóż. Nie wiem czy odkrył
jaką nieformalność w moim obli-
gu, czy też oszm innem chwał
postraszył mego wierzyciela, do-
syć że mnie zapewnił, iż zobowi-
zana jestem jedynie do wyplac-
nia pierwotnego długu wraz z
przepisanemi prawem odsetkami.
Szylard obiecał mi tedy postarać
się o pożyczkę w sposób przy-
swoioty i korzystny — a to hyla-
by dla mnie prawdziwym dobro-
dzieństwem. Otóż, teraz już pan
wniesł, dlaczego Wamhidy jest dla
mnie tak miłym gościem, że dla
niego nawet pana pozostawiam
sam na sam z Francuzką. Teraz
pana przekonałam, że on dla mnie
jest w istocie niezbędnym i że
mu mam bardzo wiele do zawzię-
żenia.
Hatszegi namyślał się długi
czas — i przyrzył sobie wargi.
Hrabina zasiadła do fortepianu z
tak naiwną obojętnością, jak gdy
by ją już wcale nie obchodziło to
wszystko, co przed chwilką opowie-
działa baronowi.
— Ach, gdyby nie ten rabunek,
który mnie pozbawił 4.000 dukat-
ów! — powiedział Hatszegi.
— wie pan baron oo? — odrze-
kla hrabina, przebierając palca-
mi po klawiaturze fortepianu;
mnie wydaje się ta cała przygoda
niepodobną do prawdy. Wstrzebił
dwa razy do czelwika z odległo-
ści kilku kroków i nie zranił go
nawet, to brzmi jakby jaka baśń
zmyślona.
— Czyż pani sądzisz, że mnie
sam gospodarz obrał? —
Hrabina ruszyła od niechcenia
ramionami i grała dalej.
— Ja tego nie przypuszczam —
powiedział Hatszegi — gdyż wi-
działem na własne oczy, jak stra-
żnicy cios załaz w głowę Makabe-
skowi Czarnolicy a mogą panią
hrabiną zapewnić, że nigdy dla
pożykania 4.000 dukatów nie za-
dawał sobie dobrowolnie tak gwał-
townego razu.
— Pan to widziałeś? I kto je-
szcze?
Hatszegiego zmieszalo to zapy-
tanie, więc rzekł:
— Co pani hrabina masz na
myśli?
— Ot, myślę sobie kochany pa-
nie baronie, że pan nie bez po-
wodu odgrywasz rolę obrażonego
i odwieczasz historję o Ma-
kabenszach, którą wyczytałeś
gdzieś w żydowskich dziejach.
— Pani hrabina obchodzi się
ze mną nędznościwie. Ale! proszę
dać pokój temu fortepianowi, i
tak jest już dosyć rozstrojony.
Radbyrn pomówić z panią hrabiną
na serjo.
— O Makabenszaoh? — zapy-
tała pani Kengyeloszy z uśmie-
chem.
— Nie, o mojej własnej osobie.
Powiadam na serjo, że doznałem
znacznych strat, o których pani
mnie nie potrzebuje. Mimo to
wiem o tem dobrze, co powinien
uczony człowiek dystyngowany
wobec zaufania, jakim mnie pa-
ni hrabina zaszczyca. Jest to
dla mnie bardzo pochlebne oszcze-
gólnienie.
— To być nie może!
— To, co ja mówię nie jest ni-
gdy niemożliwem! Niemożliwem
są obietnice owego studenta. Ja-
śliby mógł pani Hrabinie dapo-
mód, to nie bez — rozgłosu! Na
turalnie taki adwokat nie widzi tu
żadnej różnicy. A przecież bywają
wypadki, w których pewne osoby
wolałyby wskoczyć w studnię, a-
nieżeli dochoodzić swych praw na
drodze publicznej rozprawy. Lecz
ja spróbuję pani hrabinie zapro-
ponować coś innego: oblię pani
wymianiam na mój winsny i są-
dzą, że się lichwiarz na to jak
najchętniej zgodzi.
— O, dziękuję; lecz pierwej
chciałabym się dowiedzieć, jak-
iego pan będziez się domagał ode-
mnie procentu, gdyż lichwarskich
odsetek już płacić nie myślę.
— Mój procent będzie bardzo
skromny — chrześciański: popro-
szę panią hrabinę tylko o to jed-
no, ażeby odstąpiła już nie przyjm-
wała u siebie tego "lacinnika."
— Czy pan baron mówisz na
serjo?
(Ciąg dalszy nastąpi).

Biedni Bogacze

Powieść
Węgierskiego
M. Jokaj

(Ciąg dalszy).

Entre autres cieszę się z te-
go, iż tak wypadło, gdyż Leon-
hard nie ma teraz czasu przysia-
dać się do zielonego stolika, przy
którym nas zawsze szalenie ogry-
wa. Zresztą wierzę mi pan, że
zakochał się w mojej żonie na za-
bób, jest największym możliwym
nieszczęściem w miłości. Ale czy
pan wie, czym ja uczyniłam na
pańskim miejscu? Nie zgadujesz
pan? Zaoczłbym się zalecał jego
żonie. Ta biedaczka jest teraz tak
osamotnioną; a potem pan...
Dopiero surowe spojrzenie Szy-
larda przywróciło rozum hrabiemu
który sobie wrzeście przypomniał,
że baronową łączyło z Szylardem
bardzo tragiczne zdarzenie...
Baron Hatszegi bywał tedy co
dzielnym gościem uhrabiny. Prze-
widując z góry taki wynik swego
współzawodnictwa z Szylardem.
Kto uchodzi za bogatego czło-
wika, ten stoi plecyma od słońca
w pojedynku, który się toczy o
serce niewieście.
A przecież pewnego dnia, k-
iedy się Hatszegi zalecał na dobro
hrabinie, wszedł nagle do jej po-
koju Wamhidy bez żadnej zapo-
wiedzi — hrabina zerwała się
zaraz z kanapy i przeprosiwszy
swego gabinetu, gdzie z nim oas-
te barona, wprowadziła Szylarda do
pół godziny sam na sam spędziła,
a Hatszegi z gniwu o mało z-
taożki nie dostał. Zabawiła go
jedynie Francuzka, przybrana w
domu hrabiny do towarzysstwa,
która na pytania Hatszegiego od-
powiadała lakonicznie: „Oui” i
„Non”!
Wrzeście powróciła hrabina
gabinetu, i to w różowym humo-
rze. Odprowadziła Szylarda aż do
drzwi, uścisnęła mu rękę i spoj-
rzała na niego przy rozstaniu
bardzo wymownie, położywszy na
ustach palec wskazujący. Wiado-
mo, że podobna pantomina jest
dowodem największej poufalości.
Widział ją doskonale Hatszegi w
wiszącym naprzeciw zwierciadle.
Zaledwo potem hrabina usiadła
wysła natychmiast z pokoju
Francuzka jakby za umówieniem.
Rozdziarzony Hatszegi teraz
przemówił do hrabiny:
— Zdaje się, że pani hrabina
zawarła z tym młodym czelw-
kiem bardzo ścisły i poufaty sto-
sunek.
— O, tak — odrzekła hrabina
Kengyeloszy — bardzo poufaty.
Wamhidy jest dzielny i szanym
oszlówkiem.
— Z pewnością, wszak się o
tem przekonuję.
— Prawdziwie, nie tartuję.
la mnie jest on nieocenionym i
bardzo przywiązanym.
— To mu tylko zaszczyt przy-
nosi...
— Oj, panowie, panowie, g-
dybyście tylko z mniejszą przema-
niawili ironią! Są ludzie, którzy
choćab ubodzy, przecież skorszy
mi się okazują do ofiar, aniżeli
owi dumni nabobowie, którzy nam
schlebają, gdy sprzyja nam szę-
cące, a kiedy nas spotka nieprzy-
jemna przygoda, biorą kapeluszy i
uciekają. I pan należysz do ich
poestu.
— Nie rozumiem tego.
— Ot, n. p. gdyby panu po-
wiedziała: Przyjacielu! uwikłałam
się w prawdziwie głupi historję,
dział albo jutro czeka mnie sekwe-
stracya na pokrycie należności
40.000 reńskich...
Baron wybuchnął głośnym śmie-
chem i odrzekł:
— Ej, niech pani hrabina nie
kartuje; i których pożyczyl pan
40.000 reńskich?
— No, nikt. A przecież ty je-
stem winna. Ot, widział was wle-
dnin bardzo grze w karty. A stawki
były wcale znaczne. Pewnego wie-
cora przegrałam nietylko wszyst-
ką gotówkę, ale nawet pozosta-
łam winną 1.000 reńskich. Długi
zaś karciane muszę być uişczone
w przeciągu dwóch dni. Wypada-
ło mi więc koniecznie się posta-
rać o te 1.000 reńskich. Nie śmia-
łam o nie prosić męża; a to było
bardzo nierozsądnie! Wrzeście do-
stałam je od pewnego nikczemne-
go lichwiarza na bajecznie wyso-
ki procent. Kiedy mi przyszło zwró-
cić kapitał wraz z przypadająco-
mi odsetkami, tem mniej śmiałam
udać się w tej sprawie do omęza.
Wydalam więc lichwiarzowi nowy
oblig, i to powtarzało się co ro-
ku, a dług wzrastał podobnie, jak
z jaj historycznej wdowy pow-
stały stopniowo najpierw kury,
nierogacznica, wielbłąd, a wrzeście
ozworokony powóz. Tak też mój
pierwotny dług, wynoszący 1.000

reński, wzrósł ostatecznie do
wysokości 40.000; a teraz domaga
się lichwiarz zwrotu należności i
nie chce już kredytować, chociaż
bym pragnęła przedzwać ten
"zart" ekonomiczny, ażeby wzrosł
do kilkuset milionów. A to! zgi-
dniały smok nie zna już żadnej
litości. Pewnego dnia gdy była
w złym humorze, zwierzyłam się
przypadkiem Wamhiedem, a ten
pożyczył chłopcę przybiecał mi
dopomóż. Nie wiem czy odkrył
jaką nieformalność w moim obli-
gu, czy też oszm innem chwał
postraszył mego wierzyciela, do-
syć że mnie zapewnił, iż zobowi-
zana jestem jedynie do wyplac-
nia pierwotnego długu wraz z
przepisanemi prawem odsetkami.
Szylard obiecał mi tedy postarać
się o pożyczkę w sposób przy-
swoioty i korzystny — a to hyla-
by dla mnie prawdziwym dobro-
dzieństwem. Otóż, teraz już pan
wniesł, dlaczego Wamhidy jest dla
mnie tak miłym gościem, że dla
niego nawet pana pozostawiam
sam na sam z Francuzką. Teraz
pana przekonałam, że on dla mnie
jest w istocie niezbędnym i że
mu mam bardzo wiele do zawzię-
żenia.
Hatszegi namyślał się długi
czas — i przyrzył sobie wargi.
Hrabina zasiadła do fortepianu z
tak naiwną obojętnością, jak gdy
by ją już wcale nie obchodziło to
wszystko, co przed chwilką opowie-
działa baronowi.
— Ach, gdyby nie ten rabunek,
który mnie pozbawił 4.000 dukat-
ów! — powiedział Hatszegi.
— wie pan baron oo? — odrze-
kla hrabina, przebierając palca-
mi po klawiaturze fortepianu;
mnie wydaje się ta cała przygoda
niepodobną do prawdy. Wstrzebił
dwa razy do czelwika z odległo-
ści kilku kroków i nie zranił go
nawet, to brzmi jakby jaka baśń
zmyślona.
— Czyż pani sądzisz, że mnie
sam gospodarz obrał? —
Hrabina ruszyła od niechcenia
ramionami i grała dalej.
— Ja tego nie przypuszczam —
powiedział Hatszegi — gdyż wi-
działem na własne oczy, jak stra-
żnicy cios załaz w głowę Makabe-
skowi Czarnolicy a mogą panią
hrabiną zapewnić, że nigdy dla
pożykania 4.000 dukatów nie za-
dawał sobie dobrowolnie tak gwał-
townego razu.
— Pan to widziałeś? I kto je-
szcze?
Hatszegiego zmieszalo to zapy-
tanie, więc rzekł:
— Co pani hrabina masz na
myśli?
— Ot, myślę sobie kochany pa-
nie baronie, że pan nie bez po-
wodu odgrywasz rolę obrażonego
i odwieczasz historję o Ma-
kabenszach, którą wyczytałeś
gdzieś w żydowskich dziejach.
— Pani hrabina obchodzi się
ze mną nędznościwie. Ale! proszę
dać pokój temu fortepianowi, i
tak jest już dosyć rozstrojony.
Radbyrn pomówić z panią hrabiną
na serjo.
— O Makabenszaoh? — zapy-
tała pani Kengyeloszy z uśmie-
chem.
— Nie, o mojej własnej osobie.
Powiadam na serjo, że doznałem
znacznych strat, o których pani
mnie nie potrzebuje. Mimo to
wiem o tem dobrze, co powinien
uczony człowiek dystyngowany
wobec zaufania, jakim mnie pa-
ni hrabina zaszczyca. Jest to
dla mnie bardzo pochlebne oszcze-
gólnienie.
— To być nie może!
— To, co ja mówię nie jest ni-
gdy niemożliwem! Niemożliwem
są obietnice owego studenta. Ja-
śliby mógł pani Hrabinie dapo-
mód, to nie bez — rozgłosu! Na
turalnie taki adwokat nie widzi tu
żadnej różnicy. A przecież bywają
wypadki, w których pewne osoby
wolałyby wskoczyć w studnię, a-
nieżeli dochoodzić swych praw na
drodze publicznej rozprawy. Lecz
ja spróbuję pani hrabinie zapro-
ponować coś innego: oblię pani
wymianiam na mój winsny i są-
dzą, że się lichwiarz na to jak
najchętniej zgodzi.
— O, dziękuję; lecz pierwej
chciałabym się dowiedzieć, jak-
iego pan będziez się domagał ode-
mnie procentu, gdyż lichwarskich
odsetek już płacić nie myślę.
— Mój procent będzie bardzo
skromny — chrześciański: popro-
szę panią hrabinę tylko o to jed-
no, ażeby odstąpiła już nie przyjm-
wała u siebie tego "lacinnika."
— Czy pan baron mówisz na
serjo?
(Ciąg dalszy nastąpi).

Modelka



3048. — ŚLICZNY FARTUCH

Coś nowego! Slip-on model —
Bardzo praktyczny. Deseń no-
3049 przychodzi w rozmiarach
małym, średnim i większym. Śro-
dni rozmiar wymaga 2 3/4 yarda
36 calowej materji. Wygląda bar-
dzo atrakcyjnie na lato z mate-
ryał plintz, saten we wzory, ja-
sno zielonej chambraxy i w aniel-
skie wzory.
Cena modelka 15 centów. Zam-
awia się w administracji Dzien-
nika, lub przez pocztę. adre-
sując: Dziennik Dla Wszystkich,
328 Broadway, Buffalo, N. Y.
Przy zamawianiu modelka podać
należy miarę potrzebną.

MOŻECIE DOKONCZYĆ TEN OBRAZEK?



Dokończcie rysunek, prowadząc ołówkiem lub piórem od jednki do
dwójki i tak dalej aż do końca. Następnie weźcie kredki lub akwareli
i starajcie się ją najładniej zakolorować.